

# ZNACZENIE CHRZTU DLA POLSKIEJ TOŻSAMOŚCI

ANDRZEJ NOWAK

Instytut Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

Skąd się wzięła Polska? Ksiądz Benedykt Joachim Chmielowski, kanonik kijowski, nasz pierwszy encyklopedysta, podsumował stan badań interesującego nas zagadnienia w następujący sposób: „POLSKA ta nazwała się od Pola, na którym żyć i umierać lubili Polacy [...] Jest i to zdanie Autorów, że Polacy niby Polachy, to jest po Lechu potomkowie zwać się powinni, jako dotychczas Lachami nas Ruś zowie. Paprocki zaś *ingeniose* [zmyślnie] racjonuje, że za Mieczysława I Xiążęcia Polskiego, gdy Polacy Wiarę Ś.[więtą] przyjmowali i wielkimi do Chrztu Ś.[świętego] kupami przystępowali, tedy Kapłani z Czechów na to wokowani [przywołani], kupy od kup *distinguendo* [rozdzielając], pytali się: Czy jesteście polani? *id est* [to jest] już ochrzczeni? tedy ci co byli ochrzczeni, odpowiadali: *Jesteśmy polani*, stąd Polani, czyli *Poloni* poszło Polakom *in nomen gloriosum* [w chwalebne imię]. Polska innym imieniem nazywa się LECHIA od Lecha Fundatora, z Słowieńskiej Nacji obszernie panującej, tu zachodzącego”.

Jesteśmy więc z pola (choć w Krakowie uważamy, że jesteśmy z dworu i dlatego lubimy mówić, że wychodzimy na pole, inaczej niż reszta Polski, która – będąc z pola – wychodzi na dwór). Jesteśmy po Lechu (ostatnio może troszkę sierotami). Nade wszystko

jesteśmy jednak jako wspólnota **polani** – wodą chrztu świętego. To jest nasz początek. Tak to przynajmniej, za podczaszym dobrzyńskim, Bartoszem Paprockim, naszym znakomitym heraldykiem, pięknie powtarza nasz encyklopedysta – ksiądz Chmielowski w swoich *Nowych Atenach* z roku 1751.

Czy dziś, 266 lat po księdzu Chmielowskim, możemy coś do tego dodać? Choć przeminęło 10 pokoleń historyków – nie tak wiele. Polska rzeczywiście zaczyna się od chrztu.

Wcześniej coś w tym miejscu było oczywiście. Ta tworząca się wcześniej wspólnota, jakiej archeologiczne ślady i dalekie echa kronikarskie do nas dochodzą, była pierwotnie nazywana inaczej, nie Polską. Jako lud *Licikaviki* – być może właśnie zniekształcone: Lechici – opisywał ją współczesny Mieszkowi kronikarz saski Widukind. Nasz, choć nie Polak, najdawniejszy kronikarz, Anonim zwany Gallem (dzięki pracom prof. Tomasza Jasińskiego wiemy, że pochodził raczej z Wenecji), nieco ponad wiek po śmierci Mieszka przedstawił jego przodków: od Piasta, syna Chościska, poprzez Siemowita, Leszka, aż do Siemomysła, którego synem był Mieszko właśnie. Zatem to od Mieszkowego dziada, Leszka (Lestka, Lecha), widocznie bardzo zasłużonego w tworzeniu zrębów państwowej organizacji, staliśmy się Po-lachami. Mistrz Wincenty, zwany Kadłubkiem, pisząc 100 lat po Anonimie „Gallu” swoją cudowną opowieść o starożytnych dziejach Lechitów, przedłużył bardzo wstecz linię Leszków. Leszek (Lestek) I miał jak dzielny partyzant potykać się zwycięsko z samym Aleksandrem Wielkim. Kolejni Lestkowie wybierani przez wolnych Lechitów też byli tęgimi wojownikami. Lestek III na przykład pobić miał samego Juliusza Cezara, a dopiero dużo późniejszy Lestek-Leszek IV był znanym nam już dziadkiem Mieszka. Niezależnie od tych imponujących mitów ślady lechickiego pochodzenia mamy także w językach naszych wschodnich i południowych sąsiadów, dla których jesteśmy Lachami, Lechistanem, *Lenkai* (to dla Litwinów) czy też *Lengyel*, jak nas piszą Węgrzy.

Już w drugiej połowie IX wieku, nieznanym z imienia mieszkawcom wschodnich rubieży państwa Franków, zwany Geografem

Bawarskim, spisując w ratyzbońskim Klasztorze św. Emmerama listę grodów i terytoriów z północnej strony Dunaju, wymienił na niej, gdzieś na dzisiejszym terytorium Polski, lud *Lendizi* (Łędzianie, a więc może zniekształceni Lechici?). Wymienił jeszcze sporo innych plemion, m.in. Glopean (Goplan), Ślęzan, Wiślan, Opolan – ale żadnych Polan na jego liście nie było. Ani na żadnej innej. Żydowski kupiec-zwiadowca w służbie arabskiego kalifa Kordoby, Ibrahim ibn Jakub, przedstawiając dokładne informacje o północnych sąsiadach Czech, też nie wspomina żadnej Polski czy Polan, a używa określenia „kraj Mieszka” (opisywał ten kraj z Pragi, do której dotarł akurat wtedy mniej więcej, kiedy Dobrawa szykowała się do drogi ku swemu jeszcze pogańskiemu narzeczonemu). Co więcej, nawet syn i następca Mieszka, Bolesław Chrobry, wybił pierwszą monetę, denar z napisem „Gnezdun civitas” – państwo gnieźnieńskie, a nie „Polonia” jeszcze.

Ta nazwa pojawia się dopiero w roku 1000, a spłynęła spod pióra biografą i naśladowcy świętego Wojciecha – także świętego Brunona z Kwerfurtu. W Żywocie św. Wojciecha, spisowanym przez niego w Rzymie, pojawiły się te słowa, włożone przez Brunona w usta świętego misjonarza: „De terra Polanorum, quam dux Bolizlaus proximos christiano dominio procurat, ad uos pro uestra salute uenio” – „Z pobliskiego kraju Polan, nad którym sprawuje rządy chrześcijańskie książę Bolesław, przychodzę do was dla waszego zbawienia”. Tak miał mówić św. Wojciech do pogańskich Prusów w kwietniu roku 997 tuż przed swą męczeńską śmiercią, a zapisał to już trzy lata później na rzymskim Awentynie Bruno, który opierał się na bezpośrednim świadectwie dwóch innych uczestników tej misji, słuchaczy Wojciechowej mowy do pogan: brata świętego – Radzima-Gaudentego oraz mnicha Benedykta-Bogusza. To ze źródła chrztu w łacińskim obrządku, ze stolicy łacińskiej cywilizacji, z Rzymu, z Awentynu, przyszła do nas nazwa Polania, Polanie, w roku 1000, po chrzcie – od razu z ideą misji chrześcijańskiej. Na pewno zaraz po roku 1000 jest już w częstym, poświadczonym przez rozmaite źródła użyciu. Bolesław Chrobry zaczął bić nowe denary – z jednoznacznym już

napisem *Princes Polonie* (i wyobrażeniem ptaka – może koguta, może pawia, może orła?).

Oczywiście, mogli być wcześniej jacyś niezapisani w źródłach Polanie, być może od „pola, na którym żyć i umierać lubili” jej mieszkańcy, skoro tak łatwo i szybko ich władcy zaakceptowali po roku 1000 tę nazwę. Na pewno nie od razu, w roku 966, wraz chrztem powstała ich organizacja państwowa. Musiała rozwijać się wcześniej. Punktem wyjścia – rzeczywistym gniazdem – miało być Gniezno. Jego początek historycy datowali dawniej na koniec VIII wieku. Okoliczne „małe plemię” miało stąd, oparte na kolejnych ośrodkach na Ostrowie Lednickim, w Poznaniu na zachodzie, Gieczu na południu, stopniowo rozwinąć swoją ekspansję na całą Wielkopolskę. Dziś wiemy na pewno, że historia budowy, a w każdym razie błyskotliwych sukcesów państwa, które przejął Mieszko, jest krótsza. Nowe ustalenia przyniosła metoda dendrochronologii. Polega ona porównywaniu z cyklami aktywności słonecznej sekwencji przyrostów drewna w ramach tej samej, regionalnej strefy klimatycznej. Grody budowano z dębu. Teraz drewno używane do ich wznoszenia można datować z dokładnością co do roku. Wiemy już dzięki temu, że grody w sercu „polańskiego” ośrodka zaczęły powstawać dopiero pod koniec IX wieku (Giecz, może także Poznań). Kilka innych grodów wzniesiono w pierwszym ćwierćwieczu wieku X. Wyraźny przełom nastąpił jednak dopiero z końcem lat trzydziestych, na progu czterdziestych owego stulecia. Mieszko był już zapewne na świecie – mógł oglądać jako małe dziecko ten przełom na własne oczy (chyba że zgodnie z legendą zapisaną przez Anonima zwanego Gallem i zarazem najbardziej prawdopodobną etymologią swego imienia – Miżko/Mieżko – był jako mały chłopiec niedowidzący/słupy/mrużący oczy...). Około roku 940 powstał gród w Gnieźnie, nowy gród w Bninie i Poznaniu, a także w Gieczu, Łądzie i Grzybowie. Kilkanaście grodów w ciągu kilkunastu lat, po roku 920, w tym pięć kluczowych w okresie dwóch-trzech najwyższych lat, około roku 940 – wszystko to na powierzchni nieprzekraczającej 5 tys. km kw. dzisiejszego serca Wielkopolski. To gigantyczna,

dobrze skoordynowana akcja, przeprowadzona najpewniej przez ojca Mieszka.

Powodem tej społecznej mobilizacji mogło być wojenne wyzwanie ze strony bezpośrednich sąsiadów zza Odry: pogańskich Słowian Połabskich, na których z kolei naciskała coraz mocniej Marchia Wschodnia królestwa niemieckiego. Innym zagrożeniem mogła się okazać ekspansja księstwa czeskiego z południa, wcześniej, bo już na początku X wieku, politycznie zorganizowanego pod władzą dynastii Przemyślidów. Od 935 roku pod energicznym panowaniem Bolesława I Srogięgo Czechy próbowały strącić zależność od niemieckiej Rzeszy, wspierały militarnie Połabian i być może właśnie wówczas też dokonały przyłączenia Śląska pod swoje zwierzchnictwo, a w każdym razie umocniły zdecydowanie tam – czyli na południowej flance władztwa Mieszkowego ojca – swoje wpływy. Właśnie wtedy, kiedy królestwo niemieckie i jego wschodni reprezentanci mieli wciąż „na głowie” walki ze Słowianami między Łabą i Odrą i aż do 950 roku prowadzili także walkę z Czechami, władcy Gniezna i Poznania podporządkowali sobie całą Wielkopolskę, Kujawy, być może Pomorze Gdańskie i część Mazowsza. Wszystko to dokonało się błyskawicznie, na przestrzeni życia jednego pokolenia: pokolenia ojca Mieszka I.

Niektórzy historycy, niedowierzający możliwościom „miejscowych” elit, szukali odpowiedzi w teorii najazdu. Wymyślona w połowie XIX wieku przez Karola Szajnochę, wsparta potem przez Franciszka Piekosińskiego, sugerowała zorganizowanie państwa Piastów przez normańskich najeźdźców, tak jak miało to na pewno miejsce w przypadku Rusi. Poważni historycy odrzucili tę teorię już dawno. Najnowsze ustalenia archeologiczne jednoznacznie ją wykluczają: dotąd nie odkryto na terenie Wielkopolski żadnych śladów nie tylko skandynawskiej obecności, ale nawet jakichkolwiek kontaktów bezpośrednich z „wikingami” sprzed końca X wieku (pojawiają się dopiero takie ślady wymiany z kolonią skandynawską założoną w Wolinie po 967 roku).

Ostatnio zwolenników zyskuje za to inna koncepcja zewnętrznej inspiracji piastowskiego przełomu. Miałaby ona nadejść z upa-

długo pod ciosami Madziarów na początku X wieku państwa wielkomorawskiego. Archeologowie odnajdują w grodach wielkopolskich zabytki, które znajdują swoje analogie wyłącznie na terenach państwa założonego na początku IX wieku przez Mojmira. Miasto Poznań, którego nazwa pochodzi według zgodnej opinii językoznawców od imienia założyciela – Poznana – może także odnaleźć swego eponima na Morawach. Tam właśnie, w okolicach Nitry, ważnego grodu władztwa Mojmira działał ród Poznan...

Przypomnijmy, że państwo wielkomorawskie, jedno z pierwszych państw słowiańskich, przyjęło 135 lat przed Mieszkiem chrześcijaństwo z rąk misjonarzy z Bawarii. W 863 roku zaś misję chrystianizacyjną na tym terenie podjęli bracia z Salonik: Konstanty (imię zakonne Cyryl) i Metody, którzy opracowali nowy alfabet dla języka słowiańskiego i przełożyli na ten język Ewangelie i najważniejsze modlitwy. Metody, mianowany przez papieża arcybiskupem morawskim, poprowadził swoją misję dalej na północ, za Karpaty, na teren księcia Wiślan („księcia siedzącego na Wiślech”, jak zapisał hagiograf Metodego). Ów nieznan nam skądinąd książę, ze stolicą najprawdopodobniej w tym miejscu, gdzie leży Kraków, nie chciał przyjąć chrześcijaństwa po dobroci, więc Świętopełk, władca Wielkich Moraw, zmusił go do tego siłą. Było to około roku 876–879. Wtedy już więc dotarło chrześcijaństwo na ziemię, które staną się polskimi. Dotarło w wersji słowiańskiego obrządku Cyryla-Metodego i zarazem, co warto podkreślić także, dotarło jako religia zwycięskiego podboju. Nie zostawiło jednak trwałych śladów. Na misję Metodego patrzyli podejrzliwie bawarscy biskupi i doprowadzili w roku 885, roku śmierci apostoła Słowian, do wprowadzenia przez papieża zakazu słowiańskiego obrządku. Ten przyjmie się w Bułgarii, a także na Rusi.

Wielkie Morawy, które mogły utrzymać panowanie nad ziemiami Wiślan i Lędzian (czyli dzisiejszą Małopolską i Podkarpaciem), rozpadły się wkrótce pod uderzeniem Madziarów. Ostatni władca, Świętopełk II, po najazdach Węgrów i Bawarów znika po 906 roku z historii wraz ze swoim państwem. Imię Świętopełka odnajduje się następnie w genealogii Piastów: Mieszko nada je

pierwszemu synowi z drugiego małżeństwa, z niemiecką żoną, Odą. Może to imię nadał swojemu synowi po... dziadku? Może ostatni władcy Wielkich Moraw zawędrowali po rozbiciu swego państwa na daleką północ, nad Wartę – i tam dali impuls nowej – czy też odnowionej – dynastii i państwowości? Tezę tę odnowił ostatnio Przemysław Urbańczyk, który sugeruje nawet, że Mieszko mógł być ochrzczony już w dzieciństwie (między 920 a 940 rokiem) przez chrześcijańskie otoczenie Świętopełka II i prowadzić następnie, płynnie niejako, akcję chrystianizacyjną swoich poddanych. Większość badaczy odrzuca tę hipotezę. Brak jej poświadczenia w jakichkolwiek źródłach pisanych, ani też nie odnaleziono dotąd żadnych śladów kultu chrześcijańskiego pochodzenia morawskiego z I połowy X wieku. Spekulacje na temat obrządku słowiańskiego zaprowadzonego rzekomo w IX czy początkach X wieku przez wpływy wielkomorawskie – przynajmniej na terenie Krakowa i okolic – nie znajdują potwierdzenia. Nie ma przede wszystkim najważniejszego znaku przyjęcia chrztu: pochówków szkieletowych, nakazywanych tak w wersji łacińskiej, jak i greckiej (ewentualnie słowiańskiej) chrześcijańskiego obrządku pogrzebowego; ciepłopalenie było przez Kościół zakazywane. Cmentarze szkieletowe pojawiają się dopiero w końcu X wieku: po chrzcie Mieszka. Choć chrześcijaństwo jeszcze przed chrztem Mieszka mogło sporadycznie zaglądać na ziemię później nazwane polskimi, to jednak rok 966 zachowuje pod tym względem znaczenie przełomu. Po tej dacie zaczną powstawać pierwsze kościoły, pierwsze cmentarze potwierdzające przyjmowanie nowej wiary.

Musimy więc wrócić do tego, co wiemy o poświadczonym historycznie chrzcie, jego przesłankach i konsekwencjach. Mieszko mógł wiedzieć o losie pogańskiego księcia Wiślan, który chrztu przyjąć nie chciał – i spotkała go polityczna niewola. Widział na pewno rosnącą siłę odnowionego przez Ottona I w roku 962 chrześcijańskiego Cesarstwa i jego rdzenia – królestwa niemieckiego. Pierwsza historyczna zapiska, którą dysponujemy na temat Mieszka, pochodzi z roku 963. Kronikarz saski Widukind informuje o ataku plemion wieleckich (Słowian zza Odry), których

prowadził niemiecki banita, Wichman. Mieszko to starcie przegrał, zginął w nim jego brat. Zagrożenie musiało być duże. W tym samym roku Geron, margrabia potężnej Marchii Wschodniej królestwa niemieckiego, pobił z kolei Łużyczan, południowych sąsiadów Wioletów. Od południa także zagrażał czeski książę Bolesław, który już trzymał Śląsk i Małopolskę. Chcąc uniknąć losu „potężnego księcia w Wiślech” i stać się kolejną ofiarą prowadzonej mieczem (tym razem przez Gerona albo i przez Bolesława czeskiego) misji chrześcijańskiej, a zarazem umocnić swoją pozycję wobec pogańskich napastników zza Odry Mieszko zdecydował się na sojusz z Czechami i chrzest. Gdy w innych krajach „nowej” – słowiańskiej, skandynawskiej, bałtyjskiej – Europy pogańscy władcy zastanawiali się przez pokolenia nad rezygnacją z obrzędów i tradycji pogańskich przodków i przyjęciem radykalnie nowej wiary, pierwszy historyczny władca Polski podejmuje taką decyzję już na samym wstępie swego panowania...

O najważniejszych, duchowych i politycznych, aspektach tej decyzji pisać można długo, co próbowałem robić ostatnio w I tomie moich *Dziejów Polski*, a dokładniej jeszcze przedstawił je ostatnio prof. Krzysztof Ożóg w monografii 966. *Chrzest Polski*. Tu, nie mając na to miejsca, zastanówmy się jeszcze, jak tak brzemienne w dziejowe następstwa chwila wyglądała? Wobec szczupłości źródeł (poza suchymi zapiskami polskich roczników kościelnych, przepisywanych w XII-XIII wieku, opieramy się przede wszystkim na relacji biskupa Thietmara, a także sto lat późniejszych opowieściach Anonima Gallem zwanego oraz czeskiego kronikarza Kosmasa), zdani jesteśmy na dopowiadające szczegóły domysły. Chrzest najprawdopodobniej odbył się w Wielką Sobotę, a ta przypadała w 966 roku 14 kwietnia. Mogło to być jednak również w święto zesłania Ducha Świętego (zielone świątki). Na pewno była to wiosna roku 966. Czy chrzest odbył się w Pradze – na dworze teścia, Bolesława Srogiego (zarazem prawdopodobnego ojca chrzestnego Mieszka, który przecież swemu pierworodnemu nada rok potem to właśnie imię: Bolesław)? Czy raczej w Ratyźbonie – siedzibie biskupstwa, któremu podlegała wciąż nieposiadająca



swojej diecezji Praga? Czy jednak w centrum państwa Mieszka? Najprawdopodobniej to decydujące dla naszej historii wydarzenie nastąpiło w Mieszkowej stolicy: Poznaniu. Choć są nadal autorzy, którzy wskazują raczej Gniezno. Inni jeszcze – na gród na Ostrowie Lednickim, gdzie archeolodzy i historycy sztuki odkryli dwa wapienne baseny, przypisując im funkcję baptysterium – miejsca chrztu i datując na lata sześćdziesiąte X wieku (część badaczy uważa jednak, że cały kompleks rezydencji książęcej i ewentualnego baptysterium wzniesiono raczej za Bolesława Chrobrego). Nie mamy na te pytania ostatecznej odpowiedzi. Kto chrzczył: czy sam biskup Ratyzbony Michał, czy też kapelani z jego diecezji, albo wprost z Rzymu – tego także nie jesteśmy pewni. Mógł już być w tej grupie księży, która ochrzciła księcia Mieszka i jego najbliższe otoczenie, pierwszy biskup dla jego państwa pozyskany: Jordan. Przyzwyczajaliśmy się w każdym razie do przekonania, że dzieło chrztu Polski zostało przez wybór praskiego (czy prasko-ratyzbńskiego) pośrednictwa pozbawione związku z podporządkowaniem nie tylko religijnym, ale i politycznym ambicjom biskupstw saskich, powołanych przez cesarza Ottona I do nawracania zachodnich Słowian.

Kiedy w roku 968 Ottonowi udało się ustanowić arcybiskupstwo w Magdeburgu, które miało te ambicje realizować, państwo Mieszka miało już swojego, odrębnego biskupa, niezależnego ani od Magdeburga, ani od Pragi, ani od Ratyzbony. Został nim wspomniany Jordan, najprawdopodobniej mianowany w tymże 968 roku przez papieża Jana XIII jako biskup misyjny w państwie Mieszka. Pomóc w tak szybkim i korzystnym dla naszego księcia załatwieniu sprawy mogła Dobrawa, a raczej jej siostra – Młada-Maria, która przebywała przejściowo w Rzymie jako ksieni praskiego klasztoru benedyktynek.

Jan Długosz dodał po kilku wiekach niezwykłą opowieść do tej historii. Papież, by umocnić symbolicznie znaczenie misji nowego biskupa, miał ofiarować Jordanowi na drogę do Poznania bezcenną relikwię: miecz świętego Piotra – ten, którym apostoł miał odciąć w obronie Chrystusa ucho Malchusa, jednego ze sług, któ-

rzy przyszli aresztować Pana w Ogrodzie Oliwnym. Miecz ten – w każdym razie miecz typu syryjskiego pochodzący z I wieku – jest do dziś przechowywany w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu. Kto chce zadumać się głębiej nad znaczeniem chrztu, włączenia Mieszka, a potem Polski w wielką historię chrześcijaństwa i Europy, powinien stanąć nad tym skarbem naszej tradycji. I obudzić swoją wyobraźnię.

Rocznice są dla historii okazją i pokusą. Okazją, by przyjrzeć się dokładniej raz jeszcze wydarzeniom, zjawiskom, postaciom, których jubileusz akurat obchodzimy. To niekiedy pozwala istotnie uzupełnić i poprawić obraz przeszłości, zbliżyć się do możliwie najdokładniejszej odpowiedzi na pytanie: jak to naprawdę było? Taką okazją jest obchodzona właśnie 1050. rocznica chrztu Mieszka. Mediewista z Poznania, prof. Tomasz Jurek, zdecydował się wykorzystać tę rocznicę nie po to, żeby podsumować stan badań, ale żeby postawić nowe hipotezy. Spróbował przemyśleć krytycznie zespół tych samych źródeł i zreinterpretować go w kontekście pogłębionej wiedzy o sytuacji politycznej w Europie Środkowej lat 960-ych. W artykule ogłoszonym na łamach fachowego czasopisma („Roczniki Historyczne”) podważył wiarygodność przyjmowanej na ogół zapiski rocznikarskiej, która podała tę znaną nam wszystkim datę chrztu Mieszka: rok 966. Znamy jednak tę zapiskę dopiero w redakcji pochodzącej z połowy XIII wieku – zwraca uwagę badacz, rozpoczynając od tego stwierdzenia swe historyczne „śledztwo”. Nie miejsce tu, by odtwarzać tok jego rozumowania i użyte w nim interesujące argumenty. Podsumujmy tylko ich wynik: Mieszko najprawdopodobniej został ochrzczony na dworze cesarza Ottona I. Albo na zjeździe w Magdeburgu, między 26 czerwca a 9 lipca 965 roku (*nota bene*, rok 965 jako datę chrztu podawał też Jan Długosz, a za nim cytowany na wstępie Chmielowski), albo rok później – na zjeździe w Kwedlinburgu wiosną roku 966. Wiemy na pewno, że w 967 roku Mieszko jest już nazywany we współczesnym źródle saskim „przyjacielem cesarza”. Jurek słusznie upomina się więc o przemyślenie prawdopodobnej roli cesarza w chrzcie Mieszka.

Cała konstrukcja, do której jesteśmy przyzwyczajeni – o przyjęciu chrztu poprzez Czechy – zostaje w ten sposób podważona. Ktoś może teraz obalić kontrargumentami propozycję prof. Jurka. I tak właśnie rozwija się nauka. Ciekawa hipoteza poznańskiego mediewisty przekonuje mnie dziś do tego, by Kwedlinburg i Magdeburg dodać do listy możliwych miejsc chrztu i by pozostawić znak zapytania przy rocznej dacie tego wydarzenia: to mógł być 965 albo 966. Istoty rzeczy to nie zmienia. Wspólnota polityczna budowana przez Mieszka i rozwijana przez jego następców dołączyła do chrześcijańskiej, łacińskiej Europy.

Gdy uczony stawia nową hipotezę przy ważnej społecznie okazji, pojawia się jednak, jak już wspomnieliśmy, pokusa politycznego nadużycia. I oto mamy kolejne tej prawidłowości potwierdzenie: pewna zaangażowana politycznie gazeta postanowiła hipotezę prof. Jurka wykorzystać na sobie właściwym poziomie. Zanonowała rozmowę z nim hasłem, iż oto „historyk zbliżony do PiS” (czym biedny prof. Jurek zasłużył na taki epitet? – chyba tylko pokrewieństwem z byłym marszałkiem Sejmu z lat 2005–2006, Markiem Jurkiem) przyznaje jednak, że „ochrzcili nas Niemcy”. A więc przyznajcie to, Polacy – nawołuje owa gazeta, na każdym kroku podkreślająca, że nasza historia jest garbata, wstrętna, że Polacy nadają się sami z siebie tylko do tego, by rznąć „sąsiadów” – przyznajcie, że jeśli w ogóle powstaliście, to dzięki Niemcom. W Auschwitz, w latach 1941–1945 nie było oczywiście Niemców – byli „naziści”, natomiast w połowie X wieku byli już Niemcy. To mamy przyznać... Po co? Żeby przełamywać „negatywne stereotypy” o sąsiadach... Niestety, tak jak w XIX i pierwszej połowie wieku XX przenoszenie przez część polskiej historiografii logiki wojny narodowej (z czasów Bismarcka i Hitlera) na realia 900 lat wcześniejsze było absurdem, tak samo jest nim przenoszenie reguł politycznej poprawności z początku XXI wieku na wiek X. Jest absurdem i historycznym kłamstwem. Bo trudno w X wieku mówić o rozwiniętej świadomości narodowej. Mogli mieć księża na dworze cesarskim świadomość związków kulturowych ze wspólnotą saską, albo frankońską, ale nie byli to Niemcy! To nie była

Angela Merkel, ani Martin Schulz, tak samo jak Mieszko nie miał świadomości Romana Dmowskiego ani Jarosława Kaczyńskiego!

Jeśli nawet przyjmujemy, że Mieszko został ochrzczony w Kwe-dlinburgu czy Magdeburgu, to nie zrobili tego ani „Czesi”, ani „Niemcy”, ani „Włosi” – zrobili to słudzy Kościoła powszechnego, dla chwały Pana. I to jest najważniejszy aspekt tego wydarzenia. Nasi przodkowie, twórcy państwa, które nazywamy od tysiąca lat polskim, zostali wtedy POLANI wodą chrztu świętego. Niezależnie od naiwności etymologicznych wywodów Chmielowskiego i Paprockiego – one trafiają w sedno. Nie to, że chrzcili Mieszka i jego dwór „Niemcy”, zwróciło tę przyszłą Polskę ku Europie, ku wspólnej cywilizacji, określiło naszą dziejową tożsamość. O tym zdecydowało samo przyjęcie chrztu – w obrzędku łacińskim, rozpoczęcie pracy nad „przyobleczeniem nowego człowieka”, jakiej szansę daje chrzest. Wciągać ona będzie kolejne kręgi – od najbliższego otoczenia księcia, poprzez nawracanych na jego ziemi poddanych, kolejne pokolenia – aż do naszego. Już w pierwszym pokoleniu po Mieszku i Dobrawie, pokoleniu ich syna, Bolesława Chrobrego, ta wspólnota, którą stworzył chrzest, a umocniło świadectwo męczeństwa świętego Wojciecha i zbrojne ramię Piastów, zostanie nazwana Polską.

Przyjęcie chrztu było decyzją o konsekwencjach najdalszych. Bez niej nie byłoby państwa polskiego. Wyobraźmy sobie, że Mieszko tego nie robi. Pobawmy się przez chwilę w historię alternatywną: Mieszko, po niepowodzeniu w roku 963, broni dalej swego władztwa starymi środkami. Może próbuje sprzymierzyć się z Wioletami przeciw naporowi saskiemu? Musi wtedy raczej zrezygnować z dalszej ofensywy ku ujściu Odry, bo to by się wspierającym „Wolinian” Wioletom nie podobało. Rusza za to na południowy zachód, pod pogańskimi „sztandarami”, by walczyć o wspólną słowiańsko-pogańską sprawę, przeciwko marchiom odnowionego Cesarstwa. Może odnosi nawet przejściowe sukcesy. Jednak chrześcijańskie Czechy ma raczej przeciw sobie. Bolesław Srogi, a potem jego następcy wykorzystują przecież fakt, że mogą walkę z Mieszkiem i jego państwem prowadzić pod hasłem chrze-

ścijańskiej misji przeciw poganom. To daje władcom Pragi oczywiste „punkty” u cesarza. Jak w tej sytuacji miałby Mieszko zdobyć Śląsk, będący obszarem spornym między władztwem Mieszka i czeskiego Bolesława, strefą buforową, a najprawdopodobniej jednak po prostu strefą dominacji Czech? Tym bardziej pytanie to dotyczy Krakowa, w którym panowanie czeskie jest w roku 966 poświadczane źródłowo. Pogański książę Mieszko mógłby chyba tylko bronić co najwyżej stanu posiadania odziedziczonego po swym ojcu.

Przypomnijmy też, że od 988 roku również wschodni potężny sąsiad, Ruś Kijowska, jest ochrzczona – z Bizancjum. Jej władcy mogą kontynuować ekspansję na ziemie Lędzian/Lechitów/Lachów także pod znakiem krzyża, tyle że prawosławnego. Nie ma jeszcze oczywiście ostatecznej schizmy (podziału między wschodnim i zachodnim chrześcijaństwem) i książę kijowski Włodzimierz, czy jego synowie, mogą się porozumieć z przedstawicielami cesarstwa niemieckiego, by wspólnie wypełnili, podzielili tę „lukę” w chrześcijańskiej Europie, jaką stanowi wciąż ziemia pod rządami pogańskiego Mieszka. Pamiętajmy, że dyplomacja ruska potrafiła już sięgać daleko, skoro wnuczka Włodzimierza Wielkiego zostanie wydana aż za króla Francji, Henryka I. Mamy prawo zapytać: gdyby Mieszko nie przyjął chrztu w obrządku łacińskim, może dotarłby na te ziemie, które dziś nazywamy polskimi, obrządek wschodni, cywilizacja prawosławna? O roku 988 kilkukrotnie ludniejszy od całej Polski – nawet tej Bolesława Chrobrego – „kaganat” ruski, jak się nazywała ta pierwsza organizacja polityczna wschodnich Słowian, mógłby wchodzić w obszary pogańskie na swej zachodniej rubieży pod hasłami krzewienia wiary. Czy przynajmniej tereny Małopolski, a także Lubelszczyzny, Mazowsza, nie znalazłyby się wówczas w orbicie wpływów nie tylko politycznych, ale i religijno-cywilizacyjnych Rusi, budującej prędko swoją bogatą, efektowną tożsamość prawosławną? Obok próby utrzymywania między Odrą a Bugiem pogańskiej tożsamości, na progu XI wieku po Chrystusie możliwe było również wchodzenie na ten teren od wschodu bizantyjsko-

-ruskiej wersji chrześcijaństwa. To, co dziś nazywamy Polską, stać się mogło „przedmurzem”, „marchią zachodnią” imperium rusko-prawosławnego. Zamiast Polski powstałby tylko kawałek „ruskiego miru”? To byłaby na pewno inna tożsamość, aniżeli ta, jaką kojarzymy z Polską.

Wiemy, że ostatecznie żadne państwo pogańskie nie ostało się w Europie. Ostatnia była Litwa, ochrzczona po 1385 roku. Tyle że Litwa „schowana” była jeszcze w X-XI wieku daleko za borami, które o kilkaset kilometrów oddzielały ją od energicznej forpocztę łańciskiej cywilizacji: od niemieckiego królestwa i zdominowanego przezeń Cesarstwa. Władztwo Mieszka, jak już mówiliśmy, znalazło się w bezpośredniej styczności z Cesarstwem już w roku 963, przez Łużyce. Tu nie było już możliwości unikania konfrontacji. Trwanie w pogaństwie czyniłoby tę konfrontację nie tylko nieuchronną, ale także zabójczo alternatywną: kto kogo? Przed takim wyborem stali Słowianie połabscy – i wybrali, inaczej niż Mieszko, trwanie przy pogaństwie. Musieli rozpaczliwie walczyć, żeby przetrwać. Przewyższający ich „ludzkimi rezerwami”, a przede wszystkim rezerwami cywilizacyjnymi, organizacją, systemem wojennym przeciwnik – Cesarstwo – był nie do pokonania. Doświadczenie związku wieleckiego i plemion obodrzyckich pokazuje jeszcze jeden aspekt wart naświetlenia jako konsekwencja wyboru chrześcijaństwa – bądź jego odrzucenia. To fakt, że pogańskie kultury nie sprzyjały państwowemu zjednoczeniu, podtrzymywały decentralizację, każde plemię czciło swoich bogów, miało odrębnych kapłanów, próby stworzenia „zjednoczonego” pogaństwa zawiodły. Chrześcijaństwo dawało tymczasem potężne narzędzie skupienia politycznego, integracji, przewyżczenia takich podziałów, jakie Mieszko (a nawet jego następcy) musieli napotykać nawet na względnie „jednolitych etnohistorycznie” obszarach, które dołączał jego ojciec i on do wielkopolskiego rdzenia ich państwa: choćby na Mazowszu, na ziemi Łędzian (Małopolsce), na Śląsku. Bez chrztu, przełamującego partykularyzmy plemion włączanych pod władzę Mieszka i jego syna, Bolesława, tworzony przez nich organizm polityczny miałby wielkie trudno-

ści, by wyjść poza granice tego małego „pola”, z którego – między Gnieznem, Poznaniem i Gieczem, może jeszcze nieco dalej na wschód, po Kruszwicę i Kalisz – rozwinię się ono na tereny innych plemion, wyznających innych bożków? Może byłaby przez czas jakiś pogańska Wielkopolska, ale czy powstałaby Polska?

Wybór Mieszka z roku 966 (czy 965) oznaczał nie tylko utwierdzenie jego państwa, ale także wprowadzenie tegoż państwa i jego mieszkańców (stopniowo, w kolejnych pokoleniach) w obręb wielkiej cywilizacji łacińskiej Europy. Tego, że będzie to cywilizacja, która nada ton rozwojowi świata przez następny tysiąc lat, nie można było przewidzieć. To, że chrzest oznacza otwarcie na pismo, na kamienne budowle, na wyższy poziom kultury materialnej i duchowej – było jednak jasne już w roku 966. Można to było zobaczyć, już choćby porównując Pragę roku 965, roku ślubu z Dobrawą, z Gnieznem. Święty Wojciech mógł z kolei opowiedzieć trzydzieści lat później synowi Mieszka, jak murowane kościołki Pragi różnią się od bogactwa kulturalnego Rzymu i benedyktyńskiej stolicy Europy – Monte Cassino, gdzie święty spędzał lata nauki i kontemplacji. Już wnuk Mieszka – Mieszko II, będzie znał grekę... Przez chrzest państwo wchodziło na długą drogę, która prowadziła do największych, zrodzonych w grecko-rzymskiej tradycji skarbów ludzkiego ducha. Zaczyna w klasztorach, w kapitułach katedralnych powstawać pierwsze szkoły (ich znany adeptem będzie już wnuk Bolesława Chrobrego – Kazimierz Odnowicielem zwany), służyć im będą pierwsze zbiory ksiązek na polskiej ziemi. Nie tylko z pism kościelnych złożone. Najstarszy polski katalog biblioteczny z katedry w Krakowie z roku 1110 wymienia już m.in. zbiory praw, reguły gramatyczne, listy Owidiusza, Boecjusza klasyczne dzieło *O pocieszeniu, jakie daje filozofia*, pisma historyczne Salustiusza, komedie Terencjusza. Wśród dzieł tego ostatniego może i to: komedia *Sam siebie karzący*, w której zapisane zostało zdanie wyrażające istotę humanizmu: *Homo sum, humani nihil a me alienum puto* – „jestem człowiekiem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce...” Nie było innej drogi do Europy w końcu X wieku jak poprzez chrzest, nie było dalej w Europie innej drogi

do humanizmu jak poprzez chrześcijaństwo. To nie była droga prosta, usłana różami i pięknymi maksymami. To była droga przez męczeństwo pierwszych misjonarzy i przez męczeństwo tych, których „nawracano” także mieczem i ogniem. Ale powtórzmy tę datę: rok 1110 – katedra wawelska, na niej czyta się już dzieła starożytnych klasyków. W tym samym czasie dogorywa, dobijana przez kolejne krucjaty pogańska siła między Łabą i Odrą. Obodrzyce będą walczyli bohaterko jeszcze pół wieku – ale polegną. Nie napiszą swojej historii – napiszą o nich ci, którzy ich podbili. Kolejne pokolenia mieszkańców piastowskiego państwa tymczasem zaczną stopniowo zdobywać zdolność samodzielnego pisania i kontynuowania swojej historii, wpisywania jej w coraz bardziej dojrzały, wieloaspektowy sposób – w dorobek kulturalny Europy. To był także, jak się okazało, skuteczniejszy środek utrwalania niepodległości. Dwie drogi. Jedną wybrał Mieszko (jak przed nim Borzywoj i św. Waclaw dla Czech, po nim Włodzimierz Wielki dla Rusi, ksiązę Geza i jego syn, św. Stefan, dla Węgier) – drugą drogą poszli plemienni władcy Obodrzyców, Wioletów, Redarów, Łużyczan...

Gdyby Mieszko trwał na drodze pogańskich książąt Słowiańszczyzny Połabskiej nawet jeszcze choć dwie, trzy dekady dłużej – do końca swego życia, to mielibyśmy pewnie dokładniejsze opisy pogańskich wier i obrzędów na polskich ziemiach. Opisy dokonywane przez szturmujących te ziemie, jak ziemie nad Łabą właśnie, saskich panów i towarzyszących im duchownych-misjonarzy. Ale nie mamy takich opisów dla ziem między Odrą i Wisłą. Jak zauważył z żalem jeden z badaczy, ziemie polskie są prawdziwą „czarna dziurą” na mapie naszej wiedzy o pogańskich obrzędach Słowian. Wiemy sporo o takich obrzędach, obyczajach i formach kultu u Słowian Połabskich, a także na Rusi – gdzie długo pozostały żywe i na wieki utrwaliły się w kulturze pogańskie tradycje (aż po odtwarzające je arcydzieło muzyki XX wieku – wielkie *Święto wiosny* Igora Strawińskiego). Wybór Mieszka, dokonany w kilka lat zaledwie po przejęciu władzy przez pierwszego księcia zapisanego w naszej historii, sprawił, że zabrakło czasu nie



tylko na utrwalenie, ale nawet na wytworzenie jakiejś pogańskiej tożsamości polskiej. Wiemy, że były silne pogańskie centra kultu: na Łysej Górze, na górze Ślęży, kilka na Pomorzu, także Gniezno pełniło taką funkcję na kilka dekad wcześniej, jeszcze zanim zbudowano w nim piastowski gród. Ale raczej tylko przez analogie z relacjami na temat połabskich i ruskich tradycji pogańskiej Słowiańszczyzny możemy konstruować nasze wyobrażenia na temat kształtów i znaczeń owych kultów. Nie ma Polski przedchrześcijańskiej – to jest także jedna z konsekwencji szybkiego wyboru drogi ku Rzymowi, jakiego dokonał Mieszko. A zgodnie z tym, co opisaliśmy nieco wyżej, nie byłoby może Polski w ogóle, gdyby nie wybór chrześcijaństwa. Jeśli przyjąć kontrowersyjną tezę prof. Przemysława Urbańczyka, nie byłoby może samej nazwy *Polania/Polonia*, którą ziemie Mieszka i jego syna Bolesława zyskują dopiero od roku 1000, zyskują ją w Rzymie...

Nawet jednak, jeśli odrzucimy tę tezę, to zastanawiając się nad prawdopodobnymi skutkami NIEPRZYJĘCIA chrześcijaństwa przez Mieszka w roku 966, musimy powtórzyć wniosek, że niezmiernie trudno byłoby pogańskiemu księciu Gniezna i Poznania zdobyć na Czechach Śląsk i Małopolskę z Krakowem – i utrzymać je przeciw sile nie samych Czech tylko, ale także tej potężnej sile, do której ochrzczona Praga mogłaby się naturalnie odwołać: niemieckiego, chrześcijańskiego cesarstwa. A bez Śląska i Małopolski – czy państwo Mieszka byłoby już Polską?

Wybór chrześcijaństwa z zachodniego, rzymskiego źródła oznaczał także, w takim, a nie innym położeniu geograficznym państwa Mieszka i jego następców, wybór misji. Wyznaczy ją pogańskie sąsiedztwo na wschodzie – z Prusami, Jądzwingami i Litwinami. Polska, włączona w skład wspólnoty chrześcijańskiej Europy, potwierdziła swoją przynależność do niej, prowadząc dalej działalność misyjną. Jej podjęcie umacnia państwowość polską, daje jej suwerenność. Powtórzmy te słowa, wśród których po raz pierwszy pojawia się nazwa „Polanie”, słowa, jakie w kwietniu 997 roku miał wypowiedzieć Wojciech do Prusów: „Z pobliskiego kraju Polan, nad którym sprawuje rządy chrześcijańskie książę

Bolesław, przychodzę do was dla waszego zbawienia". Pochodzący z Czech, faktycznie wygnany ze swej ojczyzny misjonarz, ruszył nawracać pogańskich Prusów, posłany z „kraju Polan”, w imieniu księcia tego kraju, Bolesława Chrobrego. *Terra Polanorum*, dopiero co sama włączona do chrześcijańskiej wspólnoty, ma już być samodzielnym ośrodkiem misji, dalej, do innych niesionej. Los Wojciecha pokazywał też od razu, jak trudne to zadanie. Prusowie postanowili twardo, mieczem, bronić swojej pogańskiej tożsamości: zabili Wojciecha i odcięli mu głowę. Bolesław Chrobry wykupił ciało misjonarza na wagę złota i przewiózł do Gniezna. Dwa lata później papież Sylwester II uznał Wojciecha świętym. W roku 1000 u grobu męczennika spotkał się cesarz Otto III z księciem Polan Bolesławem. Gniezno stało się stolicą niezależnej od niemieckiego zwierzchnictwa metropolii. Państwo polskie uzyskało, dzięki męczeńskiej ofierze swego pierwszego świętego patrona, instytucjonalny także fundament swej niepodległości. Ale nie tylko to: polska wspólnota historyczna zyskała u swych początków ważne zadanie, które wiąże się nieodłącznie za znakiem Krzyża: zadanie misji – misji w tej części Europy, w której Polska miała swoje gniazdo.

Owa misja prowadzić będzie nie tylko w stronę pogańskich Bałtów. Dokonany przez Mieszka wybór chrześcijaństwa z łacińskiego źródła, przy jednoczesnym niemal wyborze prawosławnej wersji chrześcijaństwa przez Ruś, wielką, wschodniosłowiańską sąsiadkę, doda wkrótce, po okrzepnięciu wyznaniowego podziału, a nawet konfliktu – schizmy – nowy wymiar misji i związanej z nią tożsamości Polski. Położenie na rubieży łacińskiego świata, obok najdalej na północ wysuniętej, a wkrótce najpotężniejszej, w końcu jedynej, moskiewskiej – imperialnej gałęzi świata prawosławnego, na tę naszą polską tożsamość wpłynie bardzo mocno. List, napisany 180 lat po chrzcie Mieszka przez biskupa krakowskiego Mateusza do Bernarda z Clairvaux, odsłania po raz pierwszy zrozumienie tego problemu. Mateusz nie tylko wykazuje biegłość w wykorzystywaniu biblijnych cytatów, ale także parafrazuje *Ars poetica* Horacego i nawiązuje m.in. do poezji Owidiusza.

sza. Pisze do „doktora miodopłynnego”, jak nazywano Bernarda z Clairvaux, jak równy do równego pod względem literackim. Nie pisze jednak, żeby się przed świętym cystersem popisać, ale żeby przedłożyć ideę wielkiej misji, jaką Polska mogłaby podjąć wobec Rusi. To jest misja duchowa, związana z surową oceną stanu duchowego ruskich sąsiadów. „Gens illa Ruthenica, multitudine innumerabili ceu sideribus adaequata [...] verae religionis instituta non servat [...] Ruthenia quasi est alter orbis” (*Naród ów ruski, swą niepoliczalną liczbą gwiazdom podobny [...] nie dochowuje przepisów wiary prawdziwej. [...] Ruś jest jak inny świat*). Ów inny, ruski świat, jest „prześiąknięty zgoła heretycką przewrotnością”; Chrystusa „tylko imieniem wyznaje, czynami zaś całkowicie się wyrzeka; nie chce być zgodny ani z łacińskim, ani z greckim Kościołem, lecz odrębnie, oddzielony od obu”. Ta dramatyczna wizja nie jest tylko literackim obrazem. Jest potwierdzeniem obowiązku misji. Jest odpowiedzią na pytanie, które postawił autorowi listu wysłannik św. Bernarda, który pytał: „czy mógłby kto [...] niezbożne obrządki Rusinów i obyczaje ich wypłenić?” Odpowiedź, jakiej udziela biskup Mateusz, zdaje się podpowiadać, że Polska może być w takiej misji pomocna, do niej specjalnie powołana – bo też jesteśmy Słowianami, też zamieszkujemy tę samą „lodowatą strefę”, co i Ruś. Ale, żeby tę misję podjąć, mieszkańcy łacińskiej peryferii, pogranicza z ową strefą, potrzebują mocniejszej obecności światła i ciepła płynącego z ośrodka łacińskiej cywilizacji. Polska, bezpośrednio granicząc z ruskim innym światem, połączona z nim wspólnotą geografii, słowiańskiego pochodzenia i klimatu, jest, a w każdym razie może być, powołana do wielkiej duchowej, cywilizacyjnej misji na wschodzie. Ale w liście biskupa Mateusza brak przekonania, że Polska mogłaby sama taką misję prowadzić. Jeszcze brakuje poczucia własnej siły. To jest raczej manifest kulturowego, jeśli można tak powiedzieć, okcydentalizmu, przekonania o zasadniczym dla Polski znaczeniu oparcia o Zachód (a ściślej, jak widzimy, o ciepłe Południe czy Południowy-Zachód). Żeby coś zrobić na Wschodzie, za naszą wschodnią granicą, musimy być dobrze oparci o ten łaciński Południowy-Zachód, o Rzym,

o Monte Cassino, o Clairvaux. Wtedy będziemy mogli przemieniać ruski inny świat, zbliżać do naszego. Tyle mówi nam o tożsamości polskiej, wynikającej z chrztu w obrządku łacińskim, z wprowadzenia w krąg łacińskiej cywilizacji list biskupa Mateusza z 1147 roku.

I wiemy, że następne wieki będą tę tożsamość wzbogacały: przez wejście wpływami politycznymi i kulturowymi na najbliższą, halicko-włodzimierską Ruś, od czasów Kazimierza Sprawiedliwego przynajmniej, poprzez jej opanowanie za Kazimierza Wielkiego, wprowadzanie na jej obszar prawa magdeburskiego – z Polski, od Lwowa poczynając, aż do Mińska i Kijowa. Dalej będzie „jakościowy skok” owej misji-tożsamości: unia z Litwą i ochrzcenie ostatniej pogańskiej politycznej wspólnoty w Europie, całego narodu litewskiego, przeciągnięcie go na stronę łacińską, zachodnią naszego kontynentu. Ta praca, wynikająca z dalekich, ale nieuniknionych konsekwencji chrztu Mieszka, będzie kontynuowana przez kolejne wieki unii na terenach dzisiejszej także Białorusi i Ukrainy, zmieniając ich cywilizacyjny kształt, odrywając je – chyba wolno tak powiedzieć – od pierwszej wspólnoty polityczno-kulturowej Rusi, wschodniej Słowiańszczyzny. Nie się więc owa konsekwencja także w sobie nieuchronny konflikt z Moskwą, jako centrum prawosławnej, imperialnej tożsamości tejże ruskiej, wschodniosłowiańskiej wspólnoty. Zamiast „zwyyczajnych” między sąsiadami konfliktów o miedzę, rozwinie się na tej linii, na tym swoistym uskoku między dwoma skłóconymi wyznaniem chrześcijaństwa, większy konflikt geocywilizacyjny, w którym staną naprzeciw siebie prawosławna (wszech-)Rosja i oparta o swą zachodnią tożsamość cywilizacyjną Rzeczpospolita: Polska, ale także pociągane przez nią ku zachodowi inne przyszłe narody: Litwa, Białoruś, Ukraina. To także część naszej historycznej tożsamości, która zdecydowała się w końcu X wieku, między chrztem Mieszka a chrztem Włodzimierza, chrztami sąsiednich władców w dwóch różnych obrządkach chrześcijaństwa. Jakąś istotną część owej tożsamości polskiej wyraża odtąd metafora pomostu. Niekiedy w chwilach ostrego konfliktu zastępowana

inną: przedmurza. Tak będzie, gdy na Ruś nasunie się panowanie mongolskie i od tej wschodniej strony przyjdzie atak Batu-chana w roku 1241. Tak będzie ponownie w roku 1920, gdy na ruinach imperium rosyjskiego usadowi się jego ideologiczny rekonstruktor, Lenin, i pośle na zachód armię Tuchaczewskiego. I jednak się na tej polskiej granicy, na polskiej tożsamości łącińskiej, chrześcijańskiej, zatrzyma w roku 1920. I nie złamie jej także, mimo ponadczterdziestoletniej dominacji, po roku 1944.

Polska tożsamość, wynikająca z tego, że nasi przodkowie zostali polani wodą chrztu świętego, wodą zaczerpniętą z Rzymu, trwa nadal – nie tylko w tych aspektach, które tutaj tak pobieżnie wskazałem. W wielu innych, niewymienionych i może jeszcze nawet w historii ukrytych, odsłania wciąż swoje znaczenie.